

POWIEŚĆ

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

SENSACJA

ZAGUBIENI



SHARON SALA



NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS



Sentine



BEST SELLERS



WYDAWNICTWO MIRA
PASJA CZYTANIA KAŻDEGO DNIA

ZAGUBIENI



Tytuły 2006 roku:

Alex Kava – *Zło konieczne*
Elizabeth Flock – *Emma i ja*

W sprzedaży od 24 marca

Erica Spindler – *Morderca bierze wszystko*
Sharon Sala – *Zagubieni*

W sprzedaży od 21 kwietnia

M.J. Rose – *Schemat zbrodni*
Shannon Drake – *Klątwa*

W sprzedaży od 5 maja

Heather Graham – *Zatoka Huraganów*
Erica Spindler – *Zakazany owoc*

W sprzedaży od 19 maja

Diana Palmer – *Przed świtem*
Heather Graham – *Śmierć na parkiecie*

W sprzedaży od 16 czerwca

Informacje o serii New York Times Bestselling Authors
oraz sklep internetowy na stronie:

www.miraksiazki.pl

SHARON SALA ZAGUBIENI

Przełożyła:
Renata Stasińska - Soprych



Tytuł oryginału:
Missing

Pierwsze wydanie:
MIRA Books, 2004

Opracowanie redakcyjne:
Grażyna Ordega

Korekta:
Ewa Popławska

© by Sharon Sala 2004

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o. Warszawa 2006

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Rakowiecka 4

Skład i łamanie: COMPTExT[®], Warszawa

Druk: ABEDIK

ISBN 83-238-1717-0
ISBN 978-83-238-1717-8

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wes Holden był doświadczonym żołnierzem i dlatego instynktownie wyczuł, że jest obserwowany. Pachnąca miętą warstwa piany do golenia, pokrywająca jego twarz, dawała mu złudne poczucie bezpiecznej anonimowości. Boże, znowu go dopadli... Kiedy podniósł wzrok, najpierw napotkał w lustrze swoje odbicie, potem zobaczył wewnątrz pokoju za plecami. Gdy jego spojrzenie zatrzymało się na stojącej w cieniu kobiecie, stłumił jęk.

Powinien był się domyślić.

To tylko Margie.

Na jej twarzy malował się wyraźny strach. Wiedział, że to z jego powodu, ale nie umiał temu zaradzić. Znał ją od dzieciństwa, kochał od czasów szkoły średniej, a od piętnastu nazywał żoną.

Wyczuwało się między nimi napięcie, ale nie miało nic wspólnego z jego ostatnią misją, która zaprowadziła go w poszukiwaniu Osamy bin Ladena najpierw do Afganistanu, a potem, gdy prezydent wypowiedział wojnę, do Iraku.

Tak jak każda żona żołnierza, Margie wiedziała, że jej mąż gotów jest poświęcić życie dla ojczyzny. Jednak teraz trwała regularna wojna, a to zmieniało postać rzeczy. Przerażona Margie z zapartym tchem co wieczór śledziła wiadomości na kanale CNN, modląc się, by w telewizyjnej relacji mignęła twarz męża.

Nigdy nie zapomni dnia, kiedy po otwarciu drzwi ujrzała na progu dwóch oficerów i kapelana wojskowego. Z jej ust wydobył się rozdzierający krzyk. Minęło trochę czasu, zanim dotarło do niej, że jej męża, pułkownika Johna Wesleya Holdena uważa się jedynie za zaginionego i nie ma żadnych dowodów świadczących o jego śmierci.

Zaginiony podczas operacji wojskowej.

Cztery słowa, które niemal przywiodły ją do szaleństwa.

Następny miesiąc przeżyła w dziwnym stanie zawieszenia pomiędzy kompletnym odrętwieniem i napadami porażającego lęku. Zwierzyła się później Wesleyowi, że gdyby nie ich syn, Michael, skończyłaby w kaftanie bezpieczeństwa.

Wesley znów pomyślał o tych strasznych tygodniach, które spędził w niewoli. Po jakimś czasie zwątpił, czy jeszcze kiedyś zobaczy swoją rodzinę. Otrząsnął się i wrócił do golenia. Chciał wyglądać schludnie przed porannym spotkaniem z psychiatrą wojskowym. Uzmysłowił sobie, że choć w słonecznej Georgii życie toczyło się leniwym rytmem, to w Fort Benning sprawy miały się zupełnie inaczej.

Po chwili usłyszał tupot dziecięcych nóżek. Do jego uszu dobiegł głos Margie, która prosiła synka, żeby nie biegał po domu, ale chwilę później Mikey wpadł do łazienki i ledwo wyhamował przed szafką.

– Spokojnie, kolego – napomniął go Wes.
– Omal nie rozminąłeś się z lotniskiem.

Pięcioletni Michael John Holden roześmiał się radośnie, odgarnął włosy z oczu i obdarzył ojca przeciągłym spojrzeniem.

– Tatusiu?

Wes westchnął i przycisnął ostrze do policzka.

– Słucham?

– Czy pewnego dnia będę miał taki zarost jak ty?

Wesley ukrył szeroki uśmiech i opłukał maszynkę pod strumieniem gorącej wody.

– Oczywiście... kiedyś. Musisz trochę podrosnąć, zanim na twojej buzi pojawi się zarost.

– Czy zdąży urosnąć do Bożego Narodzenia?
– spytał chłopczyk.

Wes poczuł dziwne ukłucie w sercu.

– Tak, Mikey, na pewno.

Zadowolony z odpowiedzi chłopczyk usadowił się na krześle i zaczął zasypywać ojca gradem pytań, rozśmieszając go do łez. Mikey nie odrywał oczu od ojca, więc po chwili Wes poddał się i przystąpił do ich codziennego rytuału. Wyjął ostrze z maszynki, wręczył ją synkowi, postawił go na szafce i nałożył mu na buzię cienką warstwę pianki.

- Przećwiczmy to, dobrze, synku?
- Dobrze – odpowiedział chłopczyk, po czym z przejęciem pociągnął maszynką po buzi i obejrzał się w lustrze.
- Popatrz, tatusiu, jestem prawie tak dorosły jak ty.
- Tak, synku, zgadza się – odparł Wesley, patrząc z rozczuleniem, jak synek naśladuje jego miny i gesty.

W chwilę później Mikey uznał, że jest ogolony i z powrotem usadowił się na szafce, a Wesley skończył się golić. Wrócił myślami do misji w Afganistanie. W chwili jego wyjazdu Michael miał zaledwie cztery lata i interesował się przede wszystkim kreskówkami. Teraz miał prawie sześć lat i zastanawiał się, kiedy zacznie się golić... Kiedy mały Mikey zdążył tak bardzo wydorosnąć? Jak zwykle podczas takich rozważań Wesley poczuł się winny. Ominęło go bardzo dużo ważnych rzeczy, a przecież jego miejsce było przy rodzinie. Wrócił do nich, ale stał się innym człowiekiem. Dręczyły go nocne koszmary, nie umiał zapomnieć o okropnościach wojny.

Zaburzenia wskutek stresu pourazowego.

ZSPU.

Niewinny skrót paskudnego problemu.

Diagnozę przyjął spokojnie. Według niego lekarze wojskowi, ale nie tylko oni, wymyślili rejestr chorób i dolegliwości, bo kiedy coś jest nazwane, łatwiej przyporządkować temu konkret-

ne symptomy. Osobiście Wes uważał taką działalność służby zdrowia za przejaw godny sklasyfikowania i nazwania...

Uratowali go, wysłali do domu, żeby się wykurował, a gdy pewnego dnia uznają, że znów jest zdolny do służby wojskowej, pošlą go z powrotem do Iraku. Jednak jego rekonwalescencja nie przebiegała tak szybko, jak zakładano. Czasami nachodziły go wątpliwości, czy ta kuracja w ogóle odniesie pożądany skutek. Tymczasem będzie kochał się z żoną i obserwował, jak rośnie ich syn.

Już prawie kończył golenie, gdy usłyszał z ulicy głośny huk z rury wydechowej śmieciarki. Żołądek podszedł mu do gardła. Odruchowo schylił się i chciał rzucić do ucieczki, lecz szybko przyszło otrzeźwienie. Widok syna uspokoił go i przekonał, że jest bezpieczny.

Jednak zanim zorientował się w sytuacji, przycisnęła ostrze maszynki zbyt mocno i zaciął się w policzek. Zaklął, kiedy cieniutka strużka krwi pojawiła się na jego szyi. Mikey krzyknął przerażony:

– Tatusiu! Leci ci krew!

Wes w milczeniu obserwował maleńkie kropelki. Nie potrafił oderwać od nich wzroku ani nakazać pamięci, by przestała podsuwać mu przerażające obrazy skrwawionych ciał i martwych, pustych oczu. Poczul dławienie w gardle, a na czoło wystąpił mu zimny pot. Zdawał sobie sprawę, gdzie jest, czuł pod stopami zimne płytki

podłogi, ale nie mógł wyrwać się z ciemności. Mikey chwycił go za rękę.

– W porządku, tatusiu – rzekł cicho. – Zajmę się tym.

Wybiegł z łazienki, a chwilę potem w drzwiach pojawiła się Margie z naręczem świeżych ręczników. Spojrzała za biegnącym synkiem i pomyślała z rezygnacją, że Mikey pewnie znów coś zbroił. Przeniosła wzrok na stojącego przed lustrem Wesleya.

– Co się stało? – spytała.

Przełknął dziwnie gorzką ślinę i wziął głęboki oddech, usiłując nadać swojemu głosowi normalne brzmienie.

– Zaciąłem się – oznajmił, przyciskając do policzka kawałek waty.

– Pokaż – Margie odsunęła jego rękę na bok. – No, to na szczęście nic groźnego, zaraz przyniosę coś do zatamowania krwawienia.

Wes objął ramionami jej kibić, przyciągnął ją do siebie i dotknął twarzą jej szyi.

– Wszystko, czego potrzebuję, już mam – powiedział cicho i pocałował ją za uchem.

Margie jęknęła. Kochała męża i wystarczył jego dotyk, by natychmiast poczuła się podniecona. Mikey przerwał tę czułą scenę, wpadając z impetem do środka.

– Potem – szepnął Wes, widząc uśmiech Margie.

– Mam, tatusiu! Mam! – wołał głośno.

Wesley uklęknął na jedno kolano i oplótł ramieniem synka.

- Co tu masz, młody człowieku?
- Plastry. Mama przykleja mi je, gdy się skaleczę. Będzie dobrze, tylko teraz musisz stać nieruchomo.

Wes kiwnął głową na znak zgody i usiadł na brzegu wanny. Gdy dostrzegł w oczach syna własne odbicie, drgnął zdziwiony. Wciąż nie mógł wyjść z podziwu, że koszmar, który przeżył, prawie w ogóle nie odbił się na jego wyglądzie zewnętrznym.

– Jeszcze chwileczkę, tatusiu – powiedział chłopczyk, odrywając folię z małego plastra.

Wesley zamknął oczy, czerpiąc siłę z jego delikatnego dotyku. Czuł pachnący miętową pastą do zębów oddech chłopca i widział delikatny strupek na jego policzku, który pozostał nienaruszony pomimo zabawy w golenie. Mikey miał gęste ciemne włosy i, tak jak ojciec, niesforny zakręcony kosmyk na czubku głowy. Gdy się uśmiechał, widać było szczyrby po mlecznych zębach. Wes poczuł, jak ze wzruszenia dławi go w gardle. To dziecko dorastało bez ojca, ale pogodzenie służby z życiem rodzinnym wydawało się prawie niemożliwe.

– Siedź grzecznie, tatusiu – poprosił Mikey. – To nie będzie bolało.

Wes przymknął oczy, żeby ukryć łzy wzruszenia i zmusił się do uśmiechu, gdy poczuł na szyi paluszki syna.

– Jesteś wspaniałym małym lekarzem – powiedział i nagle przyszedł mu do głowy pewien

pomysł. – Pokaż buzię – zwrócił się do syna. – No cóż, tego się właśnie obawiałem.

Chłopiec popatrzył na niego ze zdziwieniem

– Co tam mam, tatusiu?

– Wygląda na to, że i ty będziesz potrzebował plastra w tym samym miejscu.

Mikey westchnął.

– Tak myślałem...

Margie szybko skryła uśmiech.

– Ponieważ jestem jedyną w pełni zdrową osobą w tej rodzinie, przygotuję jeszcze jeden opatrunek J.N.

Gdy wyszła z łazienki, Mikey usadowił się szybko między kolanami ojca i delikatnie pogłaskał go po szyi.

– J.N. znaczy „jak najszybciej”.

Wes skinął głową.

– Tak. Brawo. Szybko się uczysz, chłopie.

Mikey uśmiechnął się promiennie, a potem nagle się zawstydził.

– Cieszę się, że jesteś w domu – powiedział nieśmiało.

Ojciec objął go ramionami.

– Wiem, kolego. Ja także się cieszę.

Gdy Margie znów stanęła w drzwiach łazienki, jej oczom ukazał się rozczulający widok. Mikey przytulał się z całych sił do Wesa, który z trudem ukrywał łzy wzruszenia. Opuściła ręce wzdłuż bioder i udała zmartwioną, gdy Wes nakleił plaster na policzku chłopca.

– A teraz wynoście się z łazienki, bo muszę

zetrzeć rozlaną krew – powiedziała groźnie, ujmując się pod boki.

Nie wiedziała, że jej słowa wywołały u Wesleya atak paniki, zdołał to jednak jakoś ukryć.

– Chodź, koleś. Chyba przeszkadzamy mamie.

Chwilę potem wszyscy znajdowali się w drodze do bazy.

Georgia wyglądała wiosną naprawdę pięknie. Podczas jazdy Wes spoglądał tęsknie na zadbane trawniki i myślał o bezkresie gorącego pustynnego piasku i upale. Do tego wkrótce miał wrócić. Cudownie kwitnące drzewka brzoskwińowe, obok których przejeżdżali wczoraj, wkrótce zaowocują, a potem zaczną gubić liście. Siedzącemu z tyłu Mikeyowi nie zamykała się buzia. Planował, co kupią w kantynie bazy wojskowej tatusia, a najdłużej rozwodził się nad koniecznością zakupu masła orzechowego.

Na pozór wszystko było w porządku, jednak chwilami Wesley odnosił wrażenie, że tylko udaje zdrowego i normalnego człowieka, choć tak naprawdę wcale nie wyzwolił się z obłądzenia. Nie dopuszczał do siebie myśli, że potrzebna jest mu fachowa pomoc, ale był gotów poddać się każdej terapii, byle tylko poczuć się lepiej i zaakceptować rzeczywistość.

Prowadząc samochód, Margie co jakiś czas dotykała męża, jakby nie chciała ani na chwilę tracić z nim kontaktu. Wesley doskonale ją rozumiał. Dla niego ta rodzinna wyprawa wydawała

się czymś nierzeczywistym. Szczerze podziwiał Margie, która w sobie tylko wiadomy sposób była w stanie odpowiadać na wszystkie pytania Mike'ya, rozmawiać z mężem, a jednocześnie skupić się na kierowaniu samochodem.

Wkrótce zjechali z autostrady w kierunku bazy. Wesley podświadomie wyprostował się na fotelu i automatycznie odpowiedział na salut strażnika stojącego w bramie. Rzucił okiem na zegarek; dochodziła dziewiąta. A więc jest punktualnie.

– Margie, nie musicie ze mną iść. Jedźcie załatwić swoje sprawy. Jeśli wypuszczą mnie stąd, zanim skończycie, poczekam na zewnątrz. Pogoda jest zbyt ładna, żeby siedzieć w dusznym budynku.

– W porządku – odparła, zatrzymując samochód przed szpitalem.

Pochylił się, żeby ją pocałować, mrugnął porozumiewawczo do synka i wysiadł.

– Do zobaczenia później, kolego. Opiekuj się mamą.

– Jasne, tato.

Skierował się w stronę wejścia, ale po kilku krokach poczuł przemożne pragnienie powrotu do Margie. Obrócił się gwałtownie, podnosząc rękę, żeby zatrzymać samochód, ale była już za daleko. Stłumił nagły niepokój i irytację, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Wesley starał się odpowiadać jak najlepiej na dociekliwe pytania doktora Price'a. Chciał, by

uznano go za w pełni zdrowego. Nagle budynkiem wstrząsnął głośny wybuch. W ułamku sekundy wszystkie okna w gabinecie doktora pękły, zasypując wnętrze gradem ostrych odłamków. Wesley błyskawicznie padł na podłogę, Price jednak nie zareagował równie szybko. Rzucił się w kierunku drzwi, lecz nie zdążył do nich dobiec. Jeden z odłamków szkła, przecinających z impetem powietrze, trafił go w tył głowy, a kilka mniejszych wbiło mu się w ciało. Doktor upadł, skrzęcając się z bólu. Na dywanie pojawiły się ślady krwi. Wesley instynktownie zaczął działać, tak jak go uczono. Rzucił oknem w kierunku dziur po wyrwanych oknach, by upewnić się, czy w zasięgu wzroku nie ma żadnego wroga, potem kucnął, chwycił doktora pod pachy i wyciągnął z pokoju.

Na korytarzu panował chaos. Ludzie biegali bezładnie i krzyczeli. Wes słyszał równocześnie syreny karetek pogotowia i samochodów straży pożarnej. Ciągnąc cały czas doktora, przesuwiał się w stronę wyjścia.

– Ma jakieś obrażenia? – zapytał go jeden z sanitariuszy.

– Wybuch zniszczył okna w jego gabinecie. Chyba poraniły go odłamki szkła, ale trudno mi powiedzieć coś więcej.

Doktor jęknął, gdy sanitariusz ułożył go na noszach twarzą w dół.

– Spokojnie, proszę pana. Będzie dobrze.

Serce Wesleya tłukło się niczym uwięziony ptak. Po plecach spływały mu strużki zimnego potu.

- Co się stało?
- Wybuch w kantynie – odpowiedział ktoś z personelu medycznego.

Kantyna?! Dobry Boże!

Wesleyowi zabrakło powietrza. Wiedział, że za chwilę wpadnie w panikę i przestanie myśleć racjonalnie. Uderzył pięścią w ścianę tak mocno, by poczuć ból, który zmusi go do działania. Pomogło... Wybiegł z budynku w chwili, gdy spod szpitala ruszały na sygnale kolejne karetki pogotowia. Spojrzał do góry i dostrzegł ponad dachami złowróżbną smugę czarnego dymu. Zaczął biec. Dwa budynki dalej udało mu się wcisnąć do wojskowego dżipa kierującego się w stronę pożaru. Gdy przybył na miejsce, właśnie grodzono teren.

- Przepraszam, ale nie może pan tam wejść
- powiedział młody żandarm.

Wesley usiłował przepchnąć się obok.

– Moja rodzina... Muszę zobaczyć, czy...

– Przykro mi, proszę pana, ale nikomu nie wolno wchodzić na ogrodzony teren bez pozwolenia dowódcy straży pożarnej.

Wesley cofnął się, po czym zaczął przeciskać się przez tłum gapiów, nie odrywając wzroku od płomieni. Front budynku, w którym znajdowała się kantyna, przestał istnieć. Zobaczył ogromną dziurę w chodniku. Nikt nie musiał wyjaśniać mu, co spowodowało te zniszczenia. Wiele razy oglądał podobne sceny, tyle tylko, że rozgrywały się poza granicami kraju. A teraz zaatakowano bazę

armii amerykańskiej. Nagle wpadł na jakiś samochód i po chwili zorientował się, że dotarł na parking dla klientów kantyny.

Nigdzie nie mógł dostrzec wozu Margie. Może wcale tu nie przyjechała? Może wróciła do szpitala i właśnie go poszukuje? Boże, spraw żeby tak było.

Zaśmiał się histerycznie, ale dźwięk, który z siebie wydał, przypominał raczej wycie szaleńca. Wciąż spięty, ale już nieco spokojniejszy, ruszył wzdłuż szeregu samochodów w kierunku wyjścia z parkingu. Wtedy nastąpił drugi wybuch, wyrzucając w powietrze odłamki cegieł, kamienie, szkło, drewno i plastik. Wesley padł na ziemię, odruchowo sięgnął do pasa po broń, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że jest nieuzbrojony. Przeturlał się pod jakiś samochód. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że znów jest w Iraku, na szczęście szybko się pozbierał.

– Niech to wszystko diabli... – mruknął do siebie, podniósł się powoli i właśnie rozglądał za swoją czapką, gdy nagle zamarł. Samochód stojący w rzędzie naprzeciwko... Był niebieski, ale... przecież jest mnóstwo niebieskich samochodów tej marki. Nie, nie, to nie może być ich wóz. Mimo to zaczął iść w tamtym kierunku. Gdy zobaczył drobne wgniecenie na prawym błotniku, poczuł, jak do ust napływa mu gorzka ślina. Nie miał odwagi spojrzeć na naklejkę na przedniej szybie, nie był gotów na stawienie czoła faktom. Wtedy zobaczył fotelik dziecięcy z tyłu i oblał go zimny

pot. Spokojnie, to jeszcze nic nie znaczy, o niczym nie przesądza. Przecież tutaj mnóstwo ludzi ma dzieci... Sięgnął do klamki, modląc się, by drzwi były zamknięte. Przecież wszyscy odruchowo zamykają samochód...

Ale te drzwi były otwarte.

Jęknął. Tak, wszyscy zamykali samochody, wszyscy oprócz Margie, która na ogół o tym zapominała. Spojrzał za siebie w kierunku kantyny i zdusił narastający w krtani krzyk. To oznaczało, że oni byli tam w środku. Musiał ich odnaleźć. Pośmieją się razem z tego, że znowu nie zamknęła drzwi, a potem zabierze ich na lunch. Wcześniejszy lunch to świetny pomysł. Ruszył przed siebie, wciąż na trzęsących się nogach. Pożar był już pod kontrolą. Wesley przeszedł obok kilku żandarmów wojskowych, potem koło wozu straży pożarnej. Nie zauważył nawet, że idzie po wodzie. Poczul gorące powietrze na twarzy, ale bez zastanowienia zdjął kurtkę od munduru i wręczył ją przechodzącemu żołnierzowi.

– Proszę pana! Proszę pana! Nie może pan tam iść – zawołał za nim żołnierz, ale Wesley nie zwolnił.

Żołnierz pobiegł za nim, lecz szybko stracił go z oczu w kłębach dymu. Wszędzie wewnątrz byli żołnierze. Pomagali strażakom w ewakuacji ofiar, podpierali belkami ściany grożące zawaleniem, kopali w gruzach w poszukiwaniu ocalałych. Wes potknął się o puszkę tuńczyka i omal nie upadł. Ktoś chwycił go za ramię, ale wyszarpnął się

i kontynuował poszukiwanie. Słyszał krzyki i jęki rannych. Pomagał, jak umiał, wyciągał ludzi spod zwalów gruzu, modląc się, by natrafić na Margie i synka, lecz niebiosa nie wysłuchały jego modlitw. Biegł z kąta w kąt, coraz szybciej i bardziej chaotycznie, powoli ogarniała go panika. Jego serce waliło jak młotem, oddychał z trudnością, raz za razem doznawał skurczów żołądka i czuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Pomieszczenie było duże, wręcz ogromne. Kto wpadł na ten idiotyczny pomysł, żeby zbudować taką wielką kantinę? Gdy usłyszał za sobą głośny huk, natychmiast padł. Zaczął się czołgać, dopiero po chwili zrozumiał, że coś spadło z półki. Podniósł się i zakrył dłońmi twarz, usiłując wymazać z pamięci zapach krwi i palących się ciał. Myślał. Musiał trzeźwo myśleć, bo wciąż męczyło go przeświadczenie, że zapomniał o czymś bardzo ważnym. O czymś, co podpowiedziałoby mu, gdzie powinien szukać. Nagle przypomniał sobie o maśle orzechowym, które chciał kupić Mikey. To musiało być gdzieś z tyłu... Zaczął iść coraz szybciej, próbując dotrzeć do miejsca, gdzie stały półki z masłem orzechowym. Teraz wszystkie regały były poprzewracane i zniszczone, nic nie wyglądało tak jak kiedyś.

– Margie! Margie! Gdzie jesteś, kochanie? To ja, Wes! Słyszysz mnie? Odezwij się!

Nikt nie odpowiadał na jego wołanie.

Parę minut później zobaczył kilku żołnierzy usiłujących podnieść jakieś półki. Gdy ujrzał

wystającą spod gruzów nogę kobiety, jego uwagę przykuł widoczny but.

To był but Margie.

– Margie!

Nie zdawał sobie sprawy, że krzyczy, dopóki nie spojrzał na niego jeden z żołnierzy. Wesley był bez czapki i bez kurtki od munduru, więc żołnierz nie znał jego stopnia wojskowego.

– Hej, żołnierzu, pomóż nam! – zawołał ze zniecierpliwieniem.

Determinacja w głosie młodego człowieka popchnęła Wesa do działania, chociaż w tej chwili czuł pustkę w głowie. Stał, gdzie mu kazano, ale kiedy unieśli jedną z półek, z jego piersi wyrwał się jęk. Zobaczył przerażający widok. Ciało jego żony zostało zgniecione przez falę uderzeniową wybuchu albo przez spadające półki, które dosłownie przygwoździły ją do podłogi. Właściwie co za różnica, jak umarła? Wesley nie umiał zapewnić jej bezpieczeństwa.

Odepchnął pozostałych żołnierzy i kucnął przy ciele Margie. Kiedy podparł ręką jej szyję, głowa przechyliła się bezwładnie na jedną stronę. Nie chciał nawet myśleć, czy cierpiała w chwili śmierci, czy też koniec był szybki i gwałtowny. Zakrzuszył się, a potem zaczął płakać.

Ktoś położył mu rękę na ramieniu.

Wesley nie przeczuwał jeszcze, że to dopiero początek koszmaru. Gdy odsunęli ciało Margie, odnalazł synka.

– Boże, proszę... Nie rób mi tego... – błagał,

gdy rozpaczliwie próbował wyczuć choćby słabutki puls na szyi dziecka.

Na próżno.

Potem położył rękę na piersi Mikeya, jak gdyby w ten sposób chciał zmusić serduszko chłopca do podjęcia pracy.

Szlochając głośno, schylił się nad żoną i synkiem i objął ich ramionami. Z jego piersi wydobył się zwierzęcy skowyt, który przeraził pozostałych żołnierzy. Bez powodzenia próbowali go podnieść, choć powinni się domyślić, że właśnie stracił najbliższych. Gdyby teraz odszedł od żony i syna, zerwałby ostatnie ogniwo łączące go ze światem.

Pomimo daleko posuniętej ostrożności jego najgorsze obawy właśnie stały się rzeczywistością. Przegrał walkę.

Wróg odnalazł go w jego domu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dopiero ludzie z oddziału ratunkowego, którzy kilka minut później przybyli na miejsce zamachu, zdolali oderwać Wesleya Holdena od ciała jego żony i syna.

– Uspokój się! To ty potrzebujesz naszej pomocy – powiedział lekarz, biorąc go pod ramię.

– Nie, zostawcie mnie – odpowiedział Wesley zdławionym głosem, odpychając go od siebie.

– Muszę się nimi zaopiekować.

Kiedy podeszli do Margie, żeby położyć ją na noszach, Wesley szarpnął się i skoczył do przodu.

– Uważajcie, do cholery! Uderzycie ją w głowę! – Delikatnie wsunął ręce pod jej szyję. – Teraz – powiedział miękko i odgarnął z jej twarzy zakrwawiony kosmyk włosów, który przylepił się do policzka. – Nie martw się, kochanie. Nie pozwolę im zrobić ci krzywdy.

Sanitariusze wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Zbyt często oglądali ludzkie tragedie, by

czemukolwiek się dziwić. Gdy zaczęli wyciągać z gruzów dziecko, Wesley stał jak zamurowany. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, ale cały się trząsał. Przepępował z nogi na nogę i cicho pojękiwał. Lekarz rozumiał rozpacz Wesleya i okazywał mu współczucie, jednak zdawał sobie sprawę, że ofiar będzie więcej.

– Proszę pana, niech pan pozwoli nam dalej pracować.

– Nie... nie... Będzie lepiej, jeżeli ja to zrobię – powiedział cicho. – To mój synek. Może źle zareagować na obcych. Boże! Jak ja nienawidzę tych okropności! – Wesley gwałtownie uniósł ręce, po czym pochylił się i podniósł chłopca. Następnie powoli ruszył w stronę wolnych noszy, potykając się po drodze o puszkę z fasolką. Jednak już przy noszach, zamiast położyć dziecko, przygarnął je do piersi i stojąc tak w kłębach dymu, przytulił twarz do miękkiego policzka.

Nie mógł uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Bóg zrobił mu zbyt okrutny kawał. Wesley przysięgał, że będzie odważnie walczył i nie zawaha się oddać życia. To on powinien był umrzeć. Bóg bardzo dobrze wiedział, że Wes nie będzie umiał żyć w świecie, w którym nie ma Margie i Mikeya, więc jeśli chciał go uśmiercić, powinien był pozwolić mu zginąć w Iraku.

Wesley potarł delikatnie policzek o buzię synka i w tym momencie poczuł delikatny, mentolowy zapach swojego kremu do golenia, którym obaj bawili się rano. Przyszło mu na myśl, że chłopiec

nigdy nie doczeka się męskiego zarostu. Nigdy nie nauczy się czytać i nigdy nie skończy żadnej szkoły, nie stanie się ojcem... Wszystkie marzenia, nadzieje i plany na przyszłość legły w gruzach. W ułamku sekundy wszystko się skończyło.

Lekarz dotknął Wesleya.

– Proszę, niech pan go położy.

Drgnął i spojrział tak, jakby usłyszał głos z zaświatów.

– Proszę pana?

Wesley przycisnął mocniej chłopca do siebie.

– Błagam... – Lekarz wskazał na nosze.

Wes spojrział na nosze, a potem na dziecko, które trzymał w ramionach. Jakaś półka za nimi upadła z łoskotem, na zewnątrz ktoś rozpaczliwie wzywał pomocy. Wesley ocknął się, po raz ostatni pocałował chłopczyka w policzek i ułożył go na noszach.

Gdy sanitariusze zaczęli przykrywać ciało chłopca, Wes wyrwał im z rąk plastikową płachtę.

– Ja to zrobię. Mój synek lubi, żeby było mu ciepło.

Pochylił się, naciągnął płachtę aż po brodę Mikeya i delikatnie go otulił.

– Śpij dobrze – wyszeptał, a potem odszukał opatrunek na jego szyi, jakby chciał się upewnić, że nadal mocno się trzyma.

Przyglądający się tej scenie spadochroniarz odciągnął Wesleya i lekko popchnął w kierunku wyjścia. Kiedy przechodzili obok wozów straży pożarnej, jakiś oficer wyszedł z tłumu i chwycił Wesleya za ramię.

– Wes! Nic ci nie jest?
Spadochroniarz szybko zasalutował.
– Panie pułkowniku!
– Spocznij! – odpowiedział pułkownik. – Co tu się stało?

– Pan zna tego mężczyznę, panie pułkowniku?
Charlie Frame skinął głową.

– To pułkownik Wesley Holden. Wes... odezwij się, człowieku. Jesteś ranny?

Lecz Holden nie zdawał sobie sprawy ani z obecności kolegi, ani z tego, co dzieje się wokół. Patrząc na osmaloną twarz i nieruchomy wzrok Wesleya, Charlie poczuł ukłucie niepokoju.

Spadochroniarz podszedł z Wesleyem do sterty skrzynek i posadził go na nich. Charlie podążył za nimi.

– Panie pułkowniku – odezwał się żołnierz – przed chwilą wyciągnęliśmy z gruzów ciało kobiety i małego chłopca. Sądząc z reakcji pułkownika Holdena, dobrze znał oboje.

– Dobry Boże! – Charlie rozejrzał się dookoła. Może to jakaś koszmarna pomyłka, myślał gorączkowo. Tak, na pewno, ktoś musiał się pomylić. – Te ciała... gdzie one są? Gdzie je zabraliście?

Żołnierz wskazał na szybko rosnący szereg zwłok kładzionych na pobliskim trawniku. Niektóre z nich były nakryte folią, inne kocami lub fragmentami garderoby.

Charlie popatrzył na Wesa, po czym ruszył w kierunku prowizorycznej kostnicy. A jednak

zanim tam dotarł, zawahał się. Po chwili namysłu zmusił się, by odchylić folię przykrywającą dwa ostatnie ciała. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi jego mózg kazał mu traktować oczywiste fakty jako przywidzenie.

Niestety, musiał zaakceptować prawdę.

To była Margie. Ostatni raz widział ją, jak przerażona siedziała na skraju łóżka Wesa w szpitalu. Teraz trudno było rozpoznać jej twarz. Odwrócił się znowu w kierunku Wesleya, a potem spojrzął w dół. Jego wzrok ześlizgnął się z zakrwawionej kobiecej twarzy na małego chłopca leżącego tuż obok. To był Michael, i gdyby nie cienka smuga krwi na jego policzku, można by pomyśleć, że przed chwilą usnął.

Charlie jęknął. Łzy, które napłynęły mu do oczu, utrudniały widzenie. Wyciągnął drżące ręce, żeby poprawić koszulkę na brzuchu chłopczyka. Brak jakiegokolwiek reakcji i upiorny bezruch dziecka, które za życia aż kipiało energią, przyprawiał go o gęsią skórkę i potęgował poczucie grozy.

Podniósł się powoli i zaklął cicho. Wysłano ich do obcego kraju, żeby toczyli wojnę z gotowymi na wszystko szaleńcami, którzy zagrażali ich najbliższymi. A teraz wszystko obróciło się przeciwko nim. Jak to możliwe, że coś tak koszmarnego wydarzyło się na ich terenie, w dodatku w pieprzonej bazie wojskowej?

Wrócił do przyjaciela i usiadł przy nim.

– Wes, ogromnie mi przykro, stary.

Wesley nie odpowiedział.
Charlie położył mu rękę na plecach.
– Wes, to ja, Charlie. Jestem tu, żeby ci pomóc.
Twarz Holdena nie wyrażała ani krzty emocji. Myślami był daleko, w miejscu, gdzie nie istniało piekło. Charlie nie wiedział, jak przywrócić go do rzeczywistości. W swoim życiu widział mnóstwo martwych ludzi, często sięgał po broń i zabijał. Czasami dręczyły go wyrzuty sumienia i wątpliwości, bo czy można usprawiedliwić wszystkie okropności toczącą się wojną i obowiązkiem wykonywania rozkazów? Jednak dzisiejsza tragedia zupełnie go podłamała. Miał ochotę położyć się na ziemi i wyć z bólu.

Delikatnie rozpylona woda zrosiła równomiernie twarz Wesleya. Czuł wilgoć, lecz nie wiedział, skąd pochodzi. Drażnił go silny swąd, ale poza tym miał nikły kontakt z otoczeniem. Nie wiedział, gdzie jest, nie wiedział, co tu robi. Na domiar złego dręczyło go przeświadczenie, że powinien znajdować się w zupełnie innym miejscu.

Wokół gorączkowo biegali ludzie, nawoływali się, niektórzy krzyczeli ze strachu. Gdzieś w górze słyszał dobrze sobie znany warkot helikoptera. Ten dźwięk, tak normalny i powszedni podczas działań wojennych, nie robił na nim najmniejszego wrażenia. Był doświadczonym żołnierzem, brał udział w wielu akcjach, w ciągu ostatnich dwóch lat warkot helikopterów towarzyszył mu

niemal nieustannie. Lecz tym razem coś się nie zgadzało. Kiedy usiadł, uzmysłowił sobie, że coś jest nie w porządku. Nie miał w ręku broni. A przecież żołnierz zawsze powinien mieć ją przy sobie.

Kierowca stojącej obok karetki pogotowia włączył nagle syrenę i ruszył w kierunku szpitala. Dźwięk zelektryzował Wesleya. Kurczowo zacisnął dłonie. Zobaczył nad sobą zasnuite dymem czarne niebo. Dlaczego jest czarne? Nie powinno tak wyglądać. I gdzie, do cholery, jest jego broń?

Mohammed el Faud był oszustem. Przez ostatnie siedemnaście miesięcy mieszkał w Columbus w stanie Georgia pod nazwiskiem Frank Turner, pracując dla jednego z cywilnych kontrahentów w Fort Benning.

Pięć lat temu, kiedy po raz pierwszy przybył do Stanów Zjednoczonych, przeszedł operację plastyczną, która miała na celu całkowitą zmianę jego wyglądu. Obecnie regularnie odwiedzał salon piękności o nazwie Lighten Up, który znajdował się w bezpiecznej odległości od bazy wojskowej. Tam oddawał się w ręce kobiety imieniem Estalita, która za pomocą specjalnych preparatów odbarwiała mu włosy, zmieniając go w blondyna. Następnie, żeby utwierdzić wszystkich w przekonaniu, że jego ciemna karnacja to po prostu opalenizna, wydawał fortunę na seanse w solarium. Żeby ukryć ciemnobrązowe oczy, nosił

niebieskie szkła kontaktowe. Był wykształconym językoznawcą, który bez trudu przyswoił sobie angielski akcent z kalifornijskimi naleciałościami. Zaczął działać po amerykańskiej interwencji wojskowej w jego ojczystym kraju.

Zadanie okazało się łatwiejsze, niż uprzednio zakładał. Po miesiącach starannego planowania uderzył niewiernych w samo serce, i to na dwa sposoby. Najpierw zaatakował wroga w jego własnej, silnie strzeżonej bazie wojskowej, potem obierał cele cywilne, na przykład rodziny wojskowych.

Kantyna bazy była oczywistym i łatwym celem. Tego dnia, jak zwykle, wjechał samochodem do bazy, zatrzymując się tuż przed magazynem. Najpierw pożartował z dozorcą o nazwisku Jeter, potem pomógł jakiejś ciężarnej kobiecie zapakować zakupy do samochodu, po czym spokojnie się oddalił. Dwa bloki dalej, ukryty za betonową ścianą, zdetonował bombę, którą zostawił w samochodzie.

Jego misja jeszcze się nie skończyła. Zdołał wślizgnąć się na odgradzony przez żandarmów wojskowych teren i kiedy znalazł się wśród licznej grupy ocalałych z zamachu ludzi, zrzucił pelerynę i wydał ścinający krew w żyłach okrzyk, który poprzedził litanią złorzeczeń wygłoszonych w ojczystym języku. Gdy tak krzyczał i wymachiwał detonatorem połączonym z ładunkami przytwierdzonymi do klatki piersiowej, wyglądał na szczęśliwego i spełnionego. Grupa ratunkowa

momentalnie zawiesiła działania, a do akcji wkroczyła jednostka specjalna.

Mohammed el Faud nie miał żadnych złudzeń co do swego losu. Wiedział, że umrze. Zdetonuje ładunki przytwierdzone do ciała i zabije jeszcze więcej ludzi. Będzie to znaczące wydarzenie dla jego narodu. Wielu poświęciło życie, wjeżdżając samochodami-pułapkami w tłumy ludzi lub w budynki, ale żaden terrorysta nie powrócił na miejsce zamachu, żeby zabić ponownie. Tych, którzy ocalili, i tych, którzy próbowali ich ratować.

Wykrzykiwane po arabsku przekleństwa otrzeźwiły Wesleya i przywróciły mu jasność myślenia. Od razu rozpoznał ten język, a nawet pojął sens poszczególnych słów. Jednak kalifornijska opalenizna mężczyzny i ładna, niemal chłopięca twarz klóciły się z powszechnie funkcjonującym wizerunkiem terrorysty. No i te krótkie jasne włosy... Jednak Wesley przekonał się na własnej skórze, że pozory mylą. Zobaczył ładunki wybuchowe i detonator, który zamachowiec trzymał w ręku. Nagle przypomniał sobie, co stało się z jego rodziną i zrozumiał, kogo należy za to winić. Było za późno, żeby przywrócić im życie, ale zostało trochę czasu na dokonanie zemsty.

Zerwał się z miejsca, rozepchnął zszokowanych ludzi, wyrwał z rąk jakiegoś żandarma karabin i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, oddał strzał. Pocisk trafił Mohammeda el Fauda dokładnie między niebieskie oczy i wyleciał z tyłu głowy.

Zgromadzeni wydali niemal jednogłośnie westchnienie ulgi, gdy detonator wypadł z rąk terrorysty i potoczył się po bruku. Mohammed el Faud padł twarzą w dół, rozpryskując wodę, która wyciekała z węży strażackich.

Na ułamek sekundy zapanowała absolutna cisza, nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał. Po chwili ktoś zaczął krzyczeć, ktoś rozmawiać, ktoś inny ruszył biegiem wprost przed siebie. Żołnierz, któremu Wesley wyrwał broń, odebrał ją i rozkazał Wesowi, nie szczędząc krzyku i brutalnych gestów, położyć się twarzą do ziemi. Zapanował chaos. Wykrzykiwano rozkazy i ponaglano ludzi do ewakuacji. Akcja ratunkowa zmieniła się w pośpieszną ucieczkę w obawie przed kolejnymi zamachami terrorystycznymi.

Charlie Frame bez pardonu przedarł się przez tłum ludzi do żandarma, który pilnował leżącego na ziemi Holdena.

- Pozwól mu wstać. Ale już! – rozkazał.
- Ależ panie pułkowniku, on...
- Wykonał wyrok na terrorystyce. To wszystko.

Pomogli Wesleyowi wstać, a żandarm wreszcie zwolnił uścisk.

Charlie wziął kolegę pod rękę, obserwując uważnie jego zachowanie. Na policzku Wesa było kilka zadrapań, z nosa sączyła się krew. Jednak te nieznaczne obrażenia fizyczne nie były warte wzmianki wobec stanu psychicznego Wesa. Charliego poraził zwłaszcza wyraz jego oczu.

- Wes!

– To on... to był on.

Wesley mówił cicho, bardziej do siebie niż do Charliego, ale Charlie go słyszał.

– O czym ty mówisz? Jaki „on”?

Holden podniósł wzrok na kłęby czarnego dymu.

– Wróg przyszedł za mną do domu.

Nagle jego oczy niemal zapadły się w głąb czaszki i osunął się ciężko na ziemię.

Charlie wpadł w panikę. Czy Wes odniósł jakieś obrażenia wewnętrzne, których wcześniej nie zauważyli? Czy umierał teraz na ich oczach i już nikt nie zdoła go uratować?

– Lekarza! Szybko! Przyślijcie pomoc! – zawołał i po chwili odsunął się, robiąc miejsce parze lekarzy. Po krótkich oględzinach Wesa podniesiono i nie bez trudu wsadzono do karetki.

– Trzymaj się, stary – pożegnał go Charlie.

– Nie damy ci zginąć.

Lecz było już za późno na jakąkolwiek pomoc. Wesley Holden pogrążył się w koszmarze, zerwał ostatnią nić łączącą go z rzeczywistością.

Sześć tygodni później

Za każdym razem, kiedy Charlie Frame przychodził na oddział psychiatryczny szpitala Martin Army, przenikał go zimny dreszcz. Pomimo że miejsce było nieskazitelnie czyste, a pacjenci znajdowali się pod profesjonalną opieką, w powietrzu zdawał się unosić zapach strachu i śmierci.

To nie był oddział z pacjentami o określonym terminie pobytu. Ludzie, którzy się tam znajdowali, utracili kontakt z rzeczywistością. Przekonał się ze zdumieniem, że utrata zdrowia psychicznego powoduje równie przerażające zmiany w organizmie jak na przykład gangrena czy rak. To tak, jakby coś dosłownie pożerało cię od środka.

Przez ostatnie sześć tygodni wszędzie panował ogromny chaos. Atak terrorystyczny na kantinę bazy wojskowej był najważniejszym wydarzeniem omawianym i komentowanym we wszystkich mediach. Cywilny kontrahent bazy, który nieświadomie zatrudnił terrorystę, został odsądzony od czci i wiary zarówno przez media, jak i wojsko. Władze wojskowe oskarżyły go o rażące zaniedbanie, ponieważ nie zauważył, że jego pracownik posługuje się sfalszowanymi dokumentami. Śledztwo nie miało końca. Ludziom nie mieściło się w głowie, że terrorysta tak łatwo uzyskał dostęp do bazy wojskowej i zadał śmiertelny cios. Zamachowiec został zabity, zanim zdetonował ładunki wybuchowe, zawdzięczano to mężczyźnie, którego stan psychiczny pozostawiał wiele do życzenia. Lekarze nie obiecywali, że Wesley Holden wyzdrowieje. Przeciwnie, w miarę upływu czasu rokowania były coraz mniej optymistyczne.

Po ostatniej rozmowie z lekarzem Wesleya, Charlie niemal stracił wszelką nadzieję. Gdy znalazł się przy drzwiach pokoju Wesa, zawahał się.

Była to jego trzecia wizyta w tym tygodniu, i prawdopodobnie ostatnia. Miał wyjechać z kraju za dwa dni i nie wiedział, kiedy wróci.

– Boże, spraw, żeby wszystko było dobrze – wyszeptał i wszedł do sali.

Wes siedział na krześle odwrócony tyłem do drzwi. Charlie wziął głęboki oddech i podchodząc bliżej, zmusił się do uśmiechu.

– Cześć, Wes, to ja, Charlie. Co słyhać, stary?

Przysunął sobie krzesło i usiadł przy oknie, tak by patrzeć przyjacielowi prosto w oczy. Jeżeli Charlie żywił jeszcze jakąkolwiek nadzieję co do stanu Wesa, to w tym momencie ta nadzieja zgasła.

Podniósł się z krzesła i bez słowa dotknął przedramienia przyjaciela. Światło słoneczne, padające przez okno na twarz Wesleya, uczyniło jego błękitne oczy przezroczystymi. Wystające kości policzkowe nadawały jego wychudzonej twarzy jeszcze mizerniejszy wygląd. Wes miał uchylone usta, zupełnie jakby szykował się do wygłoszenia mowy, lecz Charlie wiedział, że jest to tylko złudzenie. Od kiedy wsadzono go do karetki, z ust Wesleya nie padło ani jedno słowo.

Charlie ponownie uściśnął ramię Wesa i usiadł. Miał nadzieję, że tym razem przyjaciel wreszcie go rozpozna i jakoś zareaguje na jego obecność.

Czas płynął. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Charlie wstał i głośno przesunął krzesło, tak by nie umknęło to uwadze Wesa. Przez chwilę obserwował przyjaciela, ale nie doczekał się żad-

nej reakcji. Dla własnego spokoju, by mieć pewność, że niczego nie zaniedbał, zaczął mówić.

– Wes... według lekarzy jesteś pogrążony w czymś w rodzaju katatonii. Zaczęli sugerować, że nie wyjdiesz z tego stanu. Wiesz, co ja o tym myślę? Myślę, że to są bzdury. Nie wszystko stracone, teraz jesteś po prostu przygnębiony, ale to przecież naturalne. – Charlie zamilkł na chwilę. – Słuchaj, za kilka dni wyjeżdżam – podjął. – Nie wiem, jak długo mnie tu nie będzie, ale nie chcę, żebyś myślał, że cię zostawiłem. Zawrzyjmy umowę. Dopóki mnie nie będzie, pogrążaj się w smutku, odetnij się od rzeczywistości i rób, co ci się żywnie podoba. Ale gdy wrócę, chcę cię zobaczyć na płycie lotniska.

Charlie odetchnął głęboko, z trudem panując nad wzruszeniem. Nagle zerwał się z krzesła.

– Cholera jasna! Wes, nie siedź tu za długo.

Wyszedł bez oglądania się za siebie, przeszedł w poprzek parkingu i wsiadł do samochodu z postanowieniem, że nie będzie rozpamiętywał tego, co widział przed chwilą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Blue Creek, Wirginia Zachodnia

Ally Monroe patrzyła w zadumie przez okno kuchenne. Ręce trzymała w powoli stygnącej wodzie, w której zmywała naczynia. Chociaż usilnie wpatrywała się w ogród, tak naprawdę wcale go nie widziała. Po chwili skoncentrowała spojrzenie na świetle odbitym od kałuży, w której kąpały się ptaki.

Marzenia o księciu z bajki, jak kiedyś nazywała to jej matka... Ally od dawna tęskniła do innego życia, ale już pogodziła się z myślą, że lepszych chwil zazna tylko w wyobraźni.

Przyszła na świat dwadzieścia osiem lat temu i nigdy nie widziała nic oprócz Wirginii Zachodniej. Urodziła się z wadą stopy, przez co utykała, lecz była dzieckiem kochanym, a nawet rozpieszczanym przez matkę. Życie upływało jej w miarę beztrąsko aż do szesnastych urodzin, kiedy to jej matka zmarła. Wówczas stało się oczywiste, że

ojciec, Gideon Monroe, pragnie, by córka przejęła większość obowiązków zmarłej żony. Ani przez chwilę nie pomyślał, że córka ma być może inny pomysł na życie i snuje ambitne plany. Zrzucił na jej barki prowadzenie domu, tym samym unicestwiając jej marzenia.

Upłynęło dwanaście lat, a ona wciąż wykonywała te same prace domowe: gotowała posiłki ojcu i dwóm starszym braciom, Danny'emu i Porterowi, prała, zmywała naczynia i sprzątała. Raz na jakiś czas doznawała uczucia, że cała rodzina wpadła do czarnej dziury, w której czas stanął w miejscu. Czasami jednak znajdowała chwilę, by pogрузić się w świecie fantazji. Wtedy wyobrażała sobie wysokiego, przystojnego mężczyznę wychodzącego prosto z lasu okalającego dom. Nieznajomy zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i porwał ją w siną dal.

Tok jej myśli zakłócił plusk wody kapiącej z kranu. Na chwilę oderwała wzrok od kałuży w betonowym zagłębieniu, lecz kiedy spojrzała tam ponownie, nie umiała skoncentrować się na snuciu fantazji.

Zmarszczyła czoło, spojrzała na naczynia, które jeszcze zostały do umycia, i odwróciła się zniesmaczona. Zdjęła fartuch, rzuciła na stół i wyszła z domu. Idąc, nieznacznie ciągnęła za sobą chorą stopę, maskując to nieco kołysaniem bioder.

Stary pies jej ojca, Buddy, na widok Ally uniósł kudłaty łeb w nadziei, że dostanie smakowitą